

## Prenumerata w miejscu.

rocznie . . . . . rs. 3 kop. —  
półrocznie . . . . . rs. 1 kop. 50  
kwartalnie . . . . . rs. —kop. 75  
Za odniesienie do domu kwartalnie kop. 10.  
Cena pojedynczego numeru kop. 7 i pół.  
z przesyłką:  
rocznie . . . . . rs. 4 kop. 40  
półrocznie . . . . . rs. 2 kop. 20  
kwartalnie . . . . . rs. 1 kop. 10

# TYGODNIK

## Ogłoszenia.

za 1 razowe po kop. 6 za wiersz petitu lub za jego miejsce.  
za 2—6 razowe po kop. 4 za wiersz.  
za 7—10 razowe po kop. 3 za wiersz.  
Cena ogłoszeń na pierwszej stronie podwójna.  
Reklamy po 10 kop. za wiersz petitu.

**Biuro Redakcyi i ekspedycja główna, w domu W-go Michelsona obok Magistratu. — Ogłoszenia przyjmują:** Redakcyja, — obiedwie księgarnie w Petrokowie, — oraz po za granicami guberni petrokowskiej wyłącznie agentura „Rajchman i Frencler” w Warszawie.

Prenumeratę przyjmują w Petrokowie. Biuro Redakcyi i obie księgarnie. W Cze-  
stochowie „Nowa księgarnia” — i prócz tego:  
w Częstochowie W. Zieliński, w Łasku W. Grass.  
w Będzinie „Janiszewski Stan. w Łodzi „Janiszewski Leopold.  
w Brzezinach „Krzemieniecki Jul. w Radomsku „Ruszkowski Erazm.  
w Dąbrowie „Dziewiątkowicz J. w Rawie „Szewłodziński.

Wychodzi w każdą Niedzielę wraz z oddzielnym stałym Dodatkiem Powieściowym.

## KSIĘGARNIA

## F. Jędrzejewicza w „Petrokowie“

ma zaszczyt zawiadomić Szanowną Publiczność, iż otrzymała

## Agenturę Warszawskiego Towarzystwa Ubezpieczeń OD OGNIA

Osobom życzącym ubezpieczyć swoje mienie, Agentura udziela najchętniej objaśnień w Księgarni, zamieszkałym zaś na prowincyi — pocztą franco. (10—7)

## PRZEŁOŻONA

## 4-klasowej Pensyi żeńskiej

## EMILIJA DOBRZAŃSKA

zawiadamia niniejszem osoby interesowane, że zapis uczennic tak miejscowych, jak i przychodnich, oraz egzamina wstępne do wszystkich 4-klas, rozpoczyna się dnia 20 sierpnia r. b.

Adres: Ulica Petersburska (Kaliska) obok Magistratu, dom Michelsona 1-sze piętro.

## Dr. Krotowski

przeprowadził się do domu p. Michaleckiej, gdzie cukiernia p. Rachalewskiego, naprzeciwko dawnego mieszkania. (3—1)

## Starszy Doktor Pułkowy

## Zolotnicki

przyjmuje chorych codziennie w domu W-go Węglińskiego, ulica Moskiewska № 24. Biednym udziela porady bezpłatnie. (2—2)

## Ksawery Szejczer

Agent Warszawskiego Towarzystwa Ubezpieczeń od ognia, przeniósł swoje mieszkanie na ulicę Petersburską (Kaliską), do domu Pańskiego № 205. (3—2)

## Zebranie Ziemian

w dniu 21 b. m.

W ubiegłą sobotę, o godzinie 2-iej z południa, za staraniem p. Prezesa miejscowej Dyr. Sz. Tow. Kred. Ziems, doszło do skutku, zapowiedziane przez nas od 6-ciu już tygodni, zebranie ziemian tutejszej gubernii.

Pomimo tak wczesnej zapowiedzi i wydrukowanego „Tygodniu”, a powtórnego przez wszystkie pisma warszawskie zaproszenia, liczba ziemian, stosunkowo jak na całą gubernię, zebrała się niewielka; jakkolwiek bowiem ogółem uczestników zebrania było 70, to jednak około 20 należy odrzucić jako przedstawicieli inteligencji miasta, nie przyjmujących czynnego udziału w ogólnej dyskusyi.

Przedmiotem zebrania, jak wiadomo, mia-

ły być dwie kwestyje: 1) czy, o ile i w jakim punkcie gubernii naszej, potrzebnem jest założenie spółki rolniczo-zbożowej, dla uwolnienia się od wyzysku nadmiernego pośrednictwa — i — 2) czy nie należałoby pomyśleć zawczasu o zmianie kierunku zbożowego naszych gospodarstw rolnych na jaki inny, ewentualnie pastewny, tem bardziej, że przy coraz większym fabrycznym rozwoju naszej okolicy, popyt na mięso i nabiał, z każdym a każdym dniem wzrasta niesłychanie. Sama Łódź np., o ile wiemy, przez cały rok sprowadza z Warszawy, całemi wagonami wołowinę, baraninę i nabiał.

Zdawało się pierwotnie, że tych obu, tak ważnych kwestyi, niepodobna będzie wyczerpać w ciągu jednodniowego posiedzenia; dzięki jednak pośpiechowi zgromadzenia, załatwiono się z niemi w ciągu pięciu niespełna godzin, i, właściwie mówiąc, pierwszą z nich rozpatrywać ma dopiero wybrana ad hoc delegacyja — druga zaś, jak to zobaczymy poniżej, została tylko bliżej wyjaśnioną, a raczej ściślej sformułowaną i postawioną na właściwszym niż dotąd gruncie.

Nie uprzedzajmy jednak wątku rozpraw, a wprost do nich przystąpmy. Zastrzegamy się, że streścimy tylko takowe, zwracając uwagę czytelnika na kilku głównych mówców, a sumarycznie wzmiankując o... pogadance innych.

Pierwszy zabrał głos, zagajając zebranie, prezes tutejszej Dyr. Sz. T. K. Z. p. Korneli Romocki. Objasniwszy zgromadzonym o przygotowaniu wszelkich możliwych materyjałów, t. j. statystycznych danych, jak i kontraktów nowo projektowanych lub funkcjonujących dziś spółek, i uprzedziwszy, że krytycznem opracowaniem takowych zajęli się pp. Feliks Stawiski z Rembieszowa i tutejszy adwokat Stefan Młodowski — zaprosił na przyzującego zebraniu p. Borakowskiego, b. radcę Dyr. Główny.

Wezwany przez tegoż do rozpoczęcia dyskusyi p. Feliks Stawiski, wspomniawszy o krytycznem położeniu ziemian, i przejawiających się usiłowaniach, w celu przeniesienia rolnictwu krajowemu jakiej takiej ulgi — napomknął, że „zbytecznemi byłoby dowodzić, iż spółki rolniczo-handlowe związane i prowadzone przezornie, z wszechstronną znajomością przedmiotu, szkodliwym skutkiem tego położenia w znacznej części zaradzić mogą”. Przeprowadziwszy następnie ścisłe rozgraniczenie pomiędzy komisem a

handlem, osobiście oświadczył się stanowczo za pierwszym z nich, jako narażającym na mniejsze ryzyko. Przed zaprowadzeniem wszelako spółki, bądź to handlowej bądź tylko komisowej, zalecił mówca rozpatrzenie się uprzednie w miejscowych warunkach: ekonomicznych, rolniczych, handlowych, przemysłowych i finansowych — a chcąc, aby temu stało się zadość, przedstawił zgromadzeniu szereg następujących pytań, dla poddania ich pod bliższą dyskusyję: „jak się praktykuje handel zbożem? — w jakim przypuszczalnym stosunku i przez jakie punkta wywozi się na targi zagraniczne? — w jakich przybliżonych cyfrach konsumuje się w miejscowych miastach i osadach fabrycznych i jakie promienie konsumcyjne miastom tym zakreślić można? — czy w miastach tych, jak Łódź, Pabjanice, można liczyć na sprzedaż zboża odbiorcom ostatniej ręki, jak młynarzom i piekarzom? — co jest bezpośrednią przyczyną nagłych fluktuacyj cen zboża na targach m. Łodzi, gdy nie zachodzi ogólna przyczyna tych fluktuacyj z targów zagranicznych? — jakie projektuje się komisowe, tak zwane odstępie, lub niżej na koreu, przy braniu zaliczeń na sprzedawane zboże kupcom i drzekupniom? — w jakim stosunku do wartości zadeklarowanego do sprzedaży produktu, zaliczenia te bywają udzielane? — jaka jest przybliżona cyfra zapotrzebowań w naszej gubernii różnych nasion i narzędzi rolniczych? — jak się praktykuje handel inwentarzem roboczym i dochodowym i jego produktami? — gdzie i jakie widoki zbytu w tym dziale rolnictwa przewidywać można? — czy są widoki na hurtowe sprzedaży drzewa, oprócz zwykłych cięż porębami, i jakie ceny praktykują się obecnie za drzewo twarde, miękkie, materyjałowe i budulcowe w wymiarach kubicznych? — czy sprzedaż drzewa materyjałowego, wyrobionego na użycie miejscowe i w jakim przypuszczalnym stosunku się praktykuje?..”

Oto szereg pytań praktyczno-rolniczych, postawionych na sobotniem zebraniu przez szanownego mówcę-ziemianina do rozstrzygnięcia współziemianom. Kolejne tychże rozpatrzenie, było zdaje się przewodnią myślą wystąpienia pana S. na mównicę. Gdy jednakże na ogólne zapytanie przewodniczącego, czy nie życzy sobie ktokolwiek z obecnych zabrać głosu w tej materyi, nikt z obecnych nie powstał, pan B. wezwał do odczytania referatu p. adwokata Młodowskiego, który miał przedstawić ogólny prawno-ekonomiczny pogląd na dotychczasowe spółki rolnicze i wskazać najwłaściwszą formę, pod jakimi zawiązywać się one mogą. Jakoż pan M. położywszy nacisk na konieczność wytworzenia dla rolnictwa kapitału obrotowego i taniego kredytu, przeszedł do pierwszych u nas pod tym względem usiłowań, czyli do dawnych „Domów Złoci”, których przyczyną upadku były bardzo liczne, ale najważniejsze z nich trzy: zbyt obszerny zakres ich działania, zostający w nieproporcjonalnym stosunku do posiadanych kapitałów; brak ludzi fachowych obeznanych, dostatecz-

nie z sekretami handlu; i — niepunktualność w wykonywaniu zobowiązań stowarzyszonych.

Pierwsza z tych trzech stron ujemnych dawnych domów zleceń tkwi i w nowozawiazanej spółce płockiej, a w części i pułuskiej; nadto, zamiar spółników płockich dyskontowania weksli obcych, należy uważać za zbyt śmiały; pod względem zaś wymagań obowiązującego prawa, kontrakty obu spółek w kilku miejscach nie dość wymaganiom tym odpowiadają i zda się, jak gdyby nie mogły się zmieścić w granicach przepisanych im przez to prawo. Gdy bowiem zasadą tegoż jest, że zarząd we spółkach komandytowych jedynie i wyłącznie tylko do wspólników firmowych należy i wolą wspólników komandytowych kępowany być nie może, wzmiankowane spółki starały się zarząd ten poddać wpływowi komandytaryjuszów, nie pomnąc, że wielka odpowiedzialność wspólników firmowych już sama przez się jest hamulcem przeciw przekroczeniu przez nich granic kontraktem wskazanych. Podobne ograniczenie wspólników firmowych przez pozostałych, mogłoby się przyczynić do uznania wszystkich za firmowych, zwiększając ich odpowiedzialność.

W razie zakładania jednej, lub paru spółek w naszej gubernii, szanowny mówca, radząc uniknąć wskazanych powyżej błędów, oświadcza się za spółkami specjalnie zbożowo-komisowemi, pod formą spółek komandytowych, jako w danym razie najodpowiedniejszą; mówiąc zaś raz jeszcze o gwałtownej potrzebie samopomocy i wytworzenia przez nią taniego dla ziemian kredytu, tak się odzywa: „współka rolna udzielając zaliczeń na tani procent, obniży poziom takowego w danej miejscowości nawet nie dla wspólników; spółki któreby nie udzielały zaliczeń, a były tylko czysto ekspedycyjnemi stowarzyszeniami — nie miałyby racji bytu”. — „O tej prawdzie, że kredyt połączony jest z niebezpieczeństwem, że może zachwiać byt spółek i narazić firmowych na ruinę, wszyscy wiedzą, jak wiedzą, że nożem można się zabić; ale wszyscy również wiedzą, że kredyt jest ożywczą siłą dla każdego przedsię-

biorstwa i potrzeba tylko, aby go rozumnie użyć, jak trzeba rozumnie używać noża, aby się nim nie zabić”.

Po takim ogólnym na kwestyję poglądzie prawno-ekonomicznym, p. Młodowski przeszedł do zbadania warunków miejscowych naszej gubernii. Przypomniawszy jej wydłużoną figurę geograficzną i łatwość kolejowych komunikacji, wskazał na główny na północy jej centr handlowy Łódź, z okolicznymi osadami fabrycznemi, jak Pabijanice, Zgierz etc., i południowy — Częstochowę, z takimiż osadami powiatu będzińskiego. Z powodu braku najtańszej komunikacji wodnej, eksport zbożem nie mógł się u nas rozwinąć. Do największej produkcyjnych powiatów naszej gubernii należą zgrupowane na północy: „petrkowski”, radomski, łaski, rawski i brzeziński. Zdania powyższe, popierając statystycznymi danymi, pan M. oblicza następnie, także na zasadzie statystycznych, ogólną produkcję gubernii pod względem zbożowym, i to, co idzie na jej własne potrzeby, i dochodzi do wniosku, że produktu je ona bardzo mało co, lub prawie nie więcej, nad własną potrzebę. I oto drugi powód, dlaczego u nas niema, właściwie biorąc, wywozu, a jest raczej przywóz, zwłaszcza w latach mniej urodzajnych. Pod względem produkcji młynarskiej, p. Młodowski, na zasadzie danych, poczerpniętych z dzieła Józefa Poznańskiego, przypisuje naszej gubernii pierwsze zaraz miejsce po warszawskiej, a podług tegoż autora, handel mąką nie był u nas nigdy przedmiotem handlu wywozowego. Wszystkie dane wyjęte przez pana M. z dzieł Żeleńskiego, Poznańskiego i innych, jakkolwiek, jak sam pan M. przyznaje, mają tylko wartość przybliżoną, w braku jednak całkowicie ścisłych danych, przedstawiają one pewne prawdopodobieństwo, na którym się oprzeć wypada.

W dalszym ciągu mówca zastanawia się, jaka instytucja właściwie odpowiadałaby potrzebom naszej gubernii: czy banki rolnicze, czy spółki komisowe? Powołując się na zdanie Falkenhagena - Zaleskiego i twierdząc, że i dziś jeszcze nie nadzedł czas na zakładanie banków rolniczych,

ponieważ brak u nas zdrowego pojęcia mas o tego rodzaju instytucjach, a przynajmniej punktualności nie jest jeszcze i dziś rozwinięty, przychodzi do przekonania, że spółki komisowo-zbożowe prędzej i łatwiej niż banki wpłynęłyby na wytworzenie taniego kredytu i wzbudziły zaufanie społeczeństwa; to zaś pozwoliłoby im ściągnąć wiele drobnych kapitałów, i nadać takowym produkcyjny i korzystny dla rolnictwa kierunek; spółki komisowe wpłynęłyby nadto na uregulowanie handlu zbożowego i oswobodziłyby takowy od mnóstwa pośredników. Następnie pan Młodowski podaje główne zasady, na jakich należałoby je oprzeć; określa ich zadanie, ograniczając je głównie do komisowej sprzedaży zboża i udzielania na takowe zaliczek; zastanawia się nad finansową stroną przedsięwzięcia, a wskazując, że głównym rynkiem sprzedaży zboża w naszej gubernii, powinna być Łódź, (choć spółka nie powinna spuszczać z uwagi i innych miejsc zbytu), oświadcza się przeciwko zakładaniu magazynów zbożowych, za wyjątkiem niewielkiego magazynu w Łodzi, gdyby potrzeba takowego się okazała; nakoniec proponuje, aby usługi oddawane spółce były wynagradzane, aby pobierane komisowe nie było stałe w kontrakcie oznaczone ale mogło być podwyższane i zmniejszane w miarę potrzeby i zwraca uwagę na właściwe znaczenie tego środka. W tem miejscu podnosząc mówca myśl utworzenia w przyszłości centralnego domu rolniczego — instytucji, która by stanowczo wpłynąć mogła na nasze stosunki rolne — kończy nadzieją, że dany raz popęd do stowarzyszeń w naszym kraju, tak mało do nich pobopnym, okaze z czasem w praktyce całą doniosłość zasady: *viribus unitis* — i będzie bodźcem do tworzenia się coraz innych stowarzyszeń, jak np. spółek wytwórczych, które przedstawiają jeszcze większą dla rolnictwa doniosłość.

Po takim wyłuszczeniu rzeczy przez adwokata Młodowskiego, zabrał głos p. Józef Jeziorański, radca komitetu T. K. Z. — Pan J. uznając za słusne wszystkie trzy przywiedzione przez poprzedniego preopinanta główne przyczyny upadku dawnych „Domów Zleceń”;

## WOLBÓRZ.

(à vol d'oiseau).

Obraz Wolborza w wieku XVI. — Główniejsze postacie i fakty historyczne, mające związek z Wolborzem. — Dzisiejszy stan osady. — Pałac biskupi. — Kościół Farny. — Zwłiska ratusza. — Cmentarz. — Loteryjka duchowna. — Handel win. — Sąd gminny.

Czytelniku nasz, zaklinj kartę historii, niech dźwiękami dziejów ojczystych przemówi do ciebie; zaklinj swą fantazję, niech ci uchylą rąbek tajemniczej zasłony dziejowej i wprowadzi na świetne Zygmunta Jagiellonów czasy!.. Jakże porywający widok przedstawia się oczom twym! Rzeczpospolita stoi na szczycie potęgi i sławy; jej królowie w całej szanowani Europie; jej cywilizacja dorównywa zachodnim sąsiadom; jej uczeni po całym słyną świecie; jej tolerancja religijna — to ideał, nigdzie w owej epoce niedościgniony.

Wyobraź sobie, czytelniku, iż zajeżdżasz do naszego grodu Trybunańskiego na sejm jeneralny. Co tu życia, ile wrzawy; jak gorąco biją wszystkim serca! Bo też niemałej wagi sprawy są tu rozważane, gra o wielkie idzie rzeczy: z jednej strony przedsięwzięcia stany reformę polityczną, reformę religijną — z drugiej — wolność wyznania i swoboda polityczna — oto godła, wypisane na sztandarze większości sejmujących. W imię najwyższych praw człowieczeństwa, staczają stany walki zacięte. Znużeni nakoniec obradami sejmowymi, szlachta i senatorowie, zgodzili się na czasowe *interim*. Rozjeżdżają się do domów...

Podążmy za jednym z panów - rad — biskupem kujawskim Janem Drohojowskim. Znużony wiekiem, cierpiący na podagrę — zdąża on w przepysnej kolebce do swej rezydencji... do Wolborza. Za nim podążają prałaci, kanonicy, członkowie kapituły kolegiaty wolborskiej, dworzanie i słudzy, jedni konno, drudzy w karocach.

Ożywiona rozmowa toczy się w kolebce biskupa. Poznajmy dwóch jego towarzyszy: siedzący obok biskupa — człowiek to trochę z cudzoziemska acz niepozornie ubrany; długa kędzierzawa broda spada mu na piersi, oblicze pełne inteligencji wskazuje zarazem, iż jest on niezrównanej słodyczy charakteru. To przyjaciel młodości Zygmunta Augusta, doradzca i sekretarz królewski, uczeń Melanchtona, mąż niepospolitej nauki, do wielu zagranicznych używany poselstw, najznakomitszy polityk polski, obecnie *wójt wolborski* — Andrzej Frycz Modrzewski. Naprzeciwko biskupa siedzi mąż w sukni duchownej, lecz znać gwałtem w nią wsadzony, bo jakoś mu w niej ciasno, ruchami zdradza pewną gorączkę czy niecierpliwość, postać wysmukła, wyraziste rysy twarzy, orli nos, ruchliwe i błyszczące oczy, znamionują naturę namiętą, niezem nieokiełzaną. To polski Demostenes — Stanisław Orzechowski.

Wszyscy trzej mówią sobie po imieniu, znać, iż dawni i serdeczni to przyjaciele. Głośną prowadzą dysputę, bo do jadących w tyle coraz to dolatuje zdala donośny i namiętny głos Orzechowskiego, to znów słychać łagodny i spokojny głos Modrzewskiego, to wtrąconą ze śmiechem uwagę biskupa.

Dwumilowa podróż urozmaicona w ten sposób, prędko się skończyła. Zdąła zawidniać Wolbórz: kilkanaście wież kościelnych strze-

liło ku niemu; w samym środku miasta usadowił się zamek biskupi. Karoce wejeżdżały w miasto, kierują się ku zamkowi. Otwierają bramę, spienione rumaki wbiegają na dziedziniec.

Tu kręci się mnóstwo sług i dworzan w barwie biskupa; co krok spostrzegasz żołnierzy z halabardami i muszkietami. Na dziedzińcu już oczekuje biskupa marszałek dworu, wysadza go z powozu i wita przybyłych gości. Biskup wprowadza ich do wnętrza, trzypych wewnętrzznego urządzenia zamku, od razu uderza widać: komnaty wysokie o weneckich oknach, ściany dęgocennemi pokryte makatami, sprzęty nadzwyczaj kunsztownej i misternej roboty, w urządzeniu zamku dominuje gust włoski — a wszędzie wspaniałość prawdziwie pańska. Od razu poznajesz, iż się znajdujesz w rezydencji biskupa, którego tylko krok jeden przedziela od arcybiskupstwa gnieźnieńskiego.

Napatrzywszy się do woli, prosisz, czytelniku, gospodarza, aby ci pozwolił obejrzeć miasto i, jako nieświadomemu miejsca, dał kogoś za przewodnika.

Zyczeniu twemu staje się zadość: w towarzystwie jednego z dworzan opuszczasz mury zamkowe. Lecz wpiers ciekawość cię zdejmując popatrzeć na zamek z zewnątrz: grubym otoczou murem, rozsiadł się poważnie na brzegu rzeki Moszczanki; w murze widnieją liczne strzelnice, tu i owdzie wygłąda paszcza moździerzna. Na całej budowie czas wycisnął swe piętno, bal bo też nie od wczoraj datuje swój początek: już w r. 1148 papież Eugenijusz III, w bulli swej o zamku wolborskim wspomina. Zapuszczasz się dalej w miasto: wszędzie uderza cię dostatek i zamożność mieszczan, na prawie niemieckiem tu osiadłych. Zwieńszasz kolejno

dowodzi, że i dzisiaj, tak jak i wówczas, nie mamy ani specjalistów, ani znany punktualności; że pod tym względem okoliczności nie tylko że się nie zmieniły na lepsze, ale się pogorszyły, gdyż pogorszyć się musiały wobec rozwiniętego partykularyzmu i odsunięcia ziemian od życia publicznego<sup>1)</sup>. Wobec zaś braku ludzi fachowych, nie należy spuszczać z uwagi, że komis zbożowy jest jednym z najtrudniejszych komisów handlowych. Wreszcie w naszej gubernii, a przynajmniej w bliższych powiatach, nie może być mowy o trudności sprzedaży i otrzymaniu możliwie najwyższych cen za zboże; może być tylko mowa o trudności dostania zaliczeń. Co się tyczy łatwości zbytu, takową mamy, byleśmy tylko mieli co sprzedać; co się zaś tyczy tego, że u nas niema wywozu za granicę, to twierdzeniu temu poprzedniego mówcy, pan J. przeczy stanowczo, nie przyznając przywiedzionym statystycznym danym najmniejszej, uawet przybliżonej wartości. Słowem, według szan. mówcy, popyt na zboże mamy prawie zawsze, a konkurencja pod tym względem mnóstwa specjalnych pośredników, zadawalniających się niewielkim zyskiem, jest nie tylko rzeczą niepodobną do zwalczania, ale nawet pożądaną ze względu na popyt. Z tych zasad mówca oświadcza się, w myśl zdania pana Ludwika Górskiego, za organizacją raczej na wzór ziemian powiatu janowskiego, banków szkockich, zamiast spółek zbożowych—i twierdzi, że gdyby ziemianie dali ewikcyjną hipoteczną, każdy choćby w wysokości dwóch tys. rubli, otrzymaliby od któregoś z banków znaczny kapitał obrotowy, któryby mogli użyć na zaliczenia. Proponuje zatem wybranie z powiatów delegacji dla zastanowienia nad pytaniami postawionymi przez pierwszego mówcę pana Stawiskiego, porozumienie się ich

<sup>1)</sup> Według naszego zdania, co się tyczy fachowego, handlowego wykształcenia nowej generacji ziemian, okoliczności te właśnie, takiemu wykształceniu sprzyjały i powinny być zwrócić ziemian na tę drogę.

(Przyp. Red.).

sześć kościołów, których wieże, dojeżdżając do Wolborza, spostrzegłeś; są to świątynie: Pa-ra, św. Krzyża, św. Leonarda, św. Trójcy, św. Ducha i św. Anny. Ten ostatni kościół stoi w pośrodku cmentarza. Dalej podziwiasz gmachy trzech szpitali: św. Leonarda, św. Trójcy i św. Ducha; oglądasz ratusz z wysoką wieżycą — miejsce posiedzeń sądów burmistrzowskich i wójtowskich; zwiedzasz starostwo, gdzie za przewodnika służy ci ojciec biskupa — Stanisław Drohojowski, starosta wolborski; wreszcie zaglądasz do szkoły wolborskiej. Ta ostatnia więcej cię interesuje. Jest to kolonija Akademii krakowskiej, posiada sześciu profesorów i rektora. Co większa—kwitną w niej nauki, udziela ona stopnie naukowe, a nawet w mieście samem w liczbie rajców i cechmistrzów, znajdujesz kilkunastu bakałarzy filozofii i nauk wyzwolonych.

Wracasz nakoniec z wycieczki do zamku; zastajesz tu nowych gości, później nieco po tobie przybyłych.

Oprócz Modrzewskiego i Orzechowskiego są tu: biskup chełmski, przyszedł biskup kujawski i prymas—Uchański, biskup krakowski, uczeń Erazma Roterdamczyka—Zebrzydowski, znakomity jurysta—Przyłuski, poeta i filolog—Trzycieski, hetman koronny—Tarnowski. Wszystko to najświetlejsi i najznakomitsi przedstawiciele swego kraju, wszystko to ludzie wysoko wykształceni, znani niemal światu całemu. Humanisści to w całym znaczeniu tego słowa, główni działacze reformacji w Polsce. Uczta już rozpoczęta. Wypito zdrowia kilku starszych wiekiem i zasłużeńszych mężów; rozmowa, zrazu opornie idąca, potoczyła się teraz swobodniej, języki się rozwiązały. Rozważano sprawy, na ostatnim sejmie załatwione; poczem przy-

szła kolej na sprawę, która wszystkich interesowała najwięcej—sprawę narodowego kościoła w Polsce! Tu dwaj szermierze występują do walki — Modrzewski i Orzechowski.

Pierwszy dowodzi, że kosmopolityzm kościoła—to mrzonka, że każdy ksiądz czuć się przedewszystkiem powinien synem tej ziemi, na której zrodzon, że rozkazów papieża, dla kościoła dobrych, lecz ojezyźnie szkodliwych, księża słuchać nie powinni; że wreszcie szanuje papieża, za głowę katolicyzmu go uznaje, dla jedności kościoła nieodzownie potrzebnym go być sędzi, obok tego jednak mniema, że władzy jego mogą podlegać tylko kwestyje dogmatyczne, ściśle religii dotyczące; nie może zaś papież wkraczać w sferę czysto miejscowych stosunków kościoła, który w każdej miejscowości winien być rządony w duchu narodowym. Na to powstaje Orzechowski. Gdy Modrzewski walczy nieprzeparą siłą loiki, przemawia do rozumu dowodami przekonywającemi, Orzechowski walczy dzielnością krasomówstwa, niezwykłą swadą; tamten przekonywa słuchaczy, ten ich czaruje i porywa. Dzielny teolog i scholastyk walczy on dowodami z pisma świętego i ojców kościoła, powołuje się na Tomasz z Akwinu, cytuje nawet Awerroesa, aby dowiesć, że papież jest wszechwładnym panem kościoła, że ma on nieograniczone prawo wglądania we wszystkie sprawy jego, że w jego ręku wszelka jest skupiona nad kościołem władza. W walce przyjmują udział i inni. Większość bierze stronę Modrzewskiego; po jego stronie nawet biskupi Drohojowski i Uchański. Kilku zaledwie duchownych broni Orzechowskiego. Ten ostatni zapala się, z ust jego płyną najczystsze perły krasomówstwa... W tem wybija na zegarze godzina dwudziesta czwarta. Północ. Go-

do znanymi warszawskimi finansistami i przedstawienie na przyszłym zebraniu ziemian gotowego już referatu.

Po krótkiej odpowiedzi pana M., na porozumienie mu przez pana J. zarzuty, wniosek tego ostatniego poparty przez p. Edmunda Dobrzańskiego i innych, przyjęty zostaje przez zgromadzenie, które postanawia, na przedstawienie pana Zygmunta Płoczyńskiego z Lubiatowa, wybrać wzmiankowaną delegację z ogółu ziemian w gubernii. Jakoż po zarządzeniu przez przewodniczącego ogólnego głosowania, weszli w skład takowej następujący pp. Jeziorański Józef z Byków, Koźmiński Karol z Bedunia, Płoczyński Zygmunt z Lubiatowa, Romocki Korneli z Lutomińska, Stawiski Feliks z Rembieszowa, Urbanowski Floryjan z Kemblin, Wolf August z Regnowa, Wolf Andrzej z Cielądza i, jako radca prawny, adwokat Młodowski Stefan.

Dla dokładności sprawozdania, dodać musimy, że sprawa wzajemnej asekuracji od ognia i gradobicia, podniesiona, w trakcie dyskusji o spółce, przez p. Manugiewicza z Grabicy, a poparta przez radcę tutejszej Dyr. Szczeg. p. Witolda Potkańskiego i kilku innych współziemian, oddaną została na ogólne żądanie, do rozpatrzenia i jednocześnie załatwienia wzmiankowanym delegatom.

Sprawozdanie o debatach nad drugim pytaniem postawionem zebraniu sobotniemu ziemian, dotyczącem najważniejszego kierunku gospodarstw rolnych—pozostawiamy, dla braku miejsca, do następnego numeru „Tygodnia”.

M. D.

### Rada Nadzorcza straży ogniowej ochotniczej w „Petrokowie”

postanowiwszy w dalszym ciągu wydać i na rok 1884 rocznik „Strażak”, najuprzejmiej uprasza:

1) Wszystkie strażę ogniową ochotniczą w kraju o łaskawe nadesłanie przed 1 (13) sierpnia r. b., sprawozdań za ostatni rok swojej działalności, podług szematu statystycznego w roczniku naszym podanego, o-

ile można krótkich i, z listą tylko swojej starszyny, oraz tych członków, którzy najmniej pięć lat bez przerwy w stowarzyszeniu pozostawali, o jakie to sprawozdania, przez oddzielne odezwy, Rada Nadzorcza już prosiła;

2) inteligencyję miejscową o łaskawe nadesłanie artykułów, jakie uważa za stosowne dla umieszczenia w naszym roczniku;

3) wszystkich zycielwych dla rozwoju straży ogniowych ochotniczych w kraju o chętną poparcie naszego wydawnictwa, podjętego nie dla zysku, lecz w celu informowania o obecnym stanie rozwoju tychże straży i zachęcenia współkolegów do wytrwania w uciążliwej pracy, podjętej dla dobra i bezpieczeństwa swych bliźnich; wreszcie;

4) wszystkie redakcyje pism peryjodycznych krajowych o przychylnie powtórzenie w swych szpaltach niniejszej odezwy.

Nadmieniamy przytem, że w roczniku „Strażak” będą pomieszczane i ogłoszenia w cenie za miejsce na całej stronie 12 rubli, na pół strony 6 rubli, oraz na ćwierć stronie i mniej 3 ruble, które to ogłoszenia wraz z pieniędzmi należy nadsyłać do księgarni p. Jędrzejewicza w Petrokowie.

Prezes Rady Gampf.

Członek Rady referent Hip. Giegużyński.

### WIADOMOŚCI BIEŻĄCE.

— Wydanie niniejszego numeru „Tygodnia” zostało opóźnione naumyślnie o dni dwa; — w przeciwnym bowiem razie nie zdążylibyśmy dać sprawozdania o sobotnim zjeździe ziemian.

— Morderstwo. W dniu 25-tym czerwca, sołtys z osady Szadku, na jarmarku w Zduńskiej woli, targował konia od włościanina ze wsi Krobanowa, kupno jednak nie doszło do skutku. Po namyśle zdecydowawszy się na żadaną cenę, sołtys poszedł wprost do Krobanowa, o parę wiorst odległego od Zduńskiej woli, a nie wiedząc o mieszkaniu sprze-

spodarz łagodni antagonistów, pacholkiwie nalewają w puhary tokaj, walczący podają sobie dłonie, wnoszą ostatni toast: „kochajmy się!” — poczem żegnając się z gospodarzem, goście udają się do przeznaczonych dla nich komnat na spoczynek. Dwóch tylko wymyka się na wózek z zamku biskupiego—Drohojowski (ojciec) i Modrzewski: pierwszy na starostwo, drugi na wójtostwo do żony i dzieci.

Edmund Dylewski.

(dok. nast.)

### DINAN.

#### Wrażenia i Obrazy

Andrzeja Theuriet.

Przekład z francuzkiego F. K.

Miałem się udać do Dinan<sup>1)</sup>. Radzono mi, abym pojechał koniemi, a wracał dopiero statkiem przez Rance. Usłuchałem chętnie, gdyż pogoda była niepewną.

Zaczynał padać kropiły deszcz, przed którym schroniłem się do wnętrza powozu. Znalazłem się tu w towarzystwie jakiegoś ogromnego anglika, który nie wiedział co robić z długimi swojemi nogami i, z dwiema zakonniami, trzymającemi na kolanach dwie duże torby skórzane. Krople deszczu gwałtownie uderzały w okna powozu. Gdy ten już miał odjeżdżać, otwo-

<sup>1)</sup> Dinan, miasto w francuzkim departamencie Côtes du Nord nad rzeką Rance—wody mineralne zelaziste.

dającego, wszedł do pierwszego domu dla poinformowania się w tej mierze; tam zastał trzech włóścian, a mianowicie: Wojciecha Jaczyka właściciela domu, Wawrzyńca Pokorę z wsi sąsiedniej Karśnic i Tomasza Koseckiego podcehministra z wsi Marzenina, którzy nie dawszy żądanego objaśnienia, rzucili się na niego i kłonicami z stojącego woza na podwórzu, tak okrutnie bili i pastwili się nad nim, że mu roztrzaskali głowę, wygnietli nogami wnętrzności i połamali wszystkie prawie żebra. Tym hałasem zbudzony sąsiad, gdyż to się działo po godzinie 10-ej w wieczór, przybył i zapewne już trupa uderzył pięć razy jeszcze kłonicą. Zamordowany pozostawił sześcioro dzieci, był sołtysem od 16-tu lat i miał być bardzo poczciwym człowiekiem. Trzej z morderców zostali aresztowani, czwarty zaś z Marzenina, pozostaje na wolności, przyjąwszy na się charakter świadka.

— **Kradzieże.** Z pod Zduńskiej Woli donoszą nam o całym szeregu rabunków i kradzieży, i tak: w dniu np. 2 lipca na pustkowi pod wsią Wdowinem, podkopał się złodziej pod przycieś w nocy i zabrał gospodarzowi 100 rs. rewersów, na drugie 100 rs., ubrania gospodyni i kilka połek płótna. Przed paru tygodniami nieznanymi grabieżcy weszli do mieszkania pisarza przy tartaku w lesie Dobrzelewskim pod Bełchatowem i zabrali pieniądze, garderobę i pościel, — to znów pod samym łaskiem oderznięli walizę od powozu jadącego z Zduńskiej Woli.

— **Jak ostrożnym być należy w powtarzaniu** za niektórymi dziennikami warszawskimi wieści, choćby z podaniem źródła, a więc nie biorąc na się odpowiedzialności, dowodzi tego fakt, powtórzony przez nas za „Kuryerem Porannym”, a dotyczący wypadku ze strychniną we wsi Sromotka pod Łaskiem. Dziś dopiero odbieramy z najwiarogodniejszego źródła sprostowanie pomienionego faktu, według którego: 1) zatruta przypadkowo została jedna tylko kobieta, a mąż jej i córki nie chorowały nawet; 2) cały długi opis przyrządzania proszków musujących, choroby gości, domowników i t. d., jest czy-

stym wymysłem, 3) lekarz żaden przyzywanym do ratunku nie był. Otruła się więc tylko jedna kobieta w skutek fatalnej omyłki. Pan K. wszakże pośrednio tu tylko winien — proszki bowiem strychniny znalazł wśród proszków chininy w domowej apteczce, którą świeżo w nowonabytym majątku odziedziczył. W każdym razie, smutna to nauka dla tych, co w kwestyjach domowego leczenia zbyt odważnie, a za mało ostrożnie postępują.

— **Z Nowego Miasta.** Zjazd przybywających w celu leczenia do Nowego Miasta, z każdym dniem się zwiększa. Obecnie leczy się tu 136 osób obojga płci. Uroczę to ustronie z rozkosznym położeniem, świeżem i bardzo zdrowym powietrzem, sprowadza tu, prócz rzezonnych chorych, i takich, którym potrzeba wypoczynku, wytchnienia i przyjemności lata. Dobra orkiestra wojskowa grywa tu stale po dwa razy dziennie. Mamy gazety, czytelną, gimnastykę, — odbywa się tu hidropatya w połączeniu z piciem rozmaitych wód mineralnych. W sali głównej znajduje się fortepian dla przyjemności i usług grających.

Dany tu wczoraj koncert przez panią Maryję z Dobrzyńskich Leszczyńską, sprowadził obywatelstwo ziemskie z okolicy. Blisko sto osób wysłuchało z zadowoleniem koncertu inteligentnej i sympatycznej śpiewaczki, która wystąpiła ze współudziałem dobrej pianistki pani Mrowińskiej i deklamatora p. E., przy akompanijamencie p. Rz... Po tej miłej zabawie artystycznej, niektórzy z kuracyjszów, wespół z przyjezdnyimi ze wsi gośćmi, parę godzin przyjemnie spędzili na ochotczych tanach.

Nie tracimy nadziei, że jak rok rocznie tak i tego lata, zaimprovizuje się tu może i teatr amatorski na cel dobroczynny i inne zabawy i rozrywki znajduj na miejsce. Przed tygodniem wielka burza po nad Nowym Miastem i pioruny, z których jeden zabił konia pasącego się na łące nieopodal zakładu, porzerażały słabszych i nerwowych.

Wczoraj przepadywał deszcz po strasznych kilkodniowych upałach, dziś powie-

trze się ochłodziło, w piątek i sobotę upał dochodził do 30° R. Żniwa w rawskim rozpoczęły się od kilku dni, na oko zboża się pięknie przedstawiają, aby tylko dało się szczęśliwie je zebrać. L. R.

Dnia 16 lipca 1883 r.

— **W Łodzi** władze miejskie zamierzają przystąpić do różnych robót, mających na celu upiększenie miasta i doprowadzenie go do porządku. Kilka ulic ma być znacznie przedłużonych, a Nowy Rynek obsadzony zostanie dokoła lipami, oraz otrzyma bruki i chodniki dogodne. Na rogach ulic miejskich mają być umieszczone tablice z nazwiskami ulic, oraz ma być zaprowadzona nowa numeracja domów. Spodziewanem jest wreszcie w krótkim czasie pozwolenie ministerstwa na wzniesienie nowego ratusza.

— **W Łódzkiem** — piszą do „Echa” — urodzaje dobre, najlepsze żyto, to też najwięcej go tu sieją. Pszenica, owies, także bardzo piękne. Żniwa możnaby już zacząć, ale ponieważ sianozęć spóźniona, trzeba więc także spóźnić żniwa. Bieda jedna wielka jest z robotnikiem, którego tu prawie wcale dostać nie można, a ceny ich są nadzwyczaj wygórowane. Mężczyźni trzeba dać za dniówkę po 4 złote, a dziewczę 2 do 3-ch. Żniwa tego roku będą przeto bardzo dużo kosztowały.

— **Urządzenia tramwajowe** w mieście Łodzi mają być dokonane dopiero w roku przyszłym. Opóźnienie nastąpiło skutkiem trudności, które nastęrczyły plany odnośnych robót, posłane do Petersburga.

— **Towarzystwo dramatyczne** p. Leszczyńskiego, zjeżdża czy też zjechało już do Częstochowy, w celu dania tam 10-ciu przedstawień. Obok „Żołnierza królowej Madagaskaru”, dać podobno zamierzają „Otella” i kilka wielce cenionych utworów swojskich. Oby się towarzystwu na tych ostatnich jak najlepiej wiodło!

— **Samobójstwo.** W dniu 2-m lipca, włóścianka z wsi Sędziejewic, rzuciła się w rzeczkę Grabię i utonęła. Trupa znaleziono pod łwsią Grabno.

rzyły się nagle drzwiczki i nowa podróżna, zamykając przemoknięty parasol, weszła i zajęła miejsce naprzeciwko mnie w kąciku.

W pierwszej chwili byłem osłepiony otrząsaniem mokrych spodniczek i kropelkami deszczu, które spadały z nowo przybyłej; wkrótce konduktor zaciął konie i powóz ruszył.

Podczas kiedy wszyscy milczeli, zacząłem się przypatrywać mojej sąsiadce. Była to z pewnością paryżanka; poznać to można było po ubraniu pełnem elegancji, świeżych pięknych rękawiczkach i kapelusiku z długim czarnym krepowym welonem; była jeszcze młodą, zdawała się jednak dochozić już tego wieku, który u paryżanek zowie się latem, a trwa od 30 do 40 roku; jej ubiór czarny zdradzał w niej wdowę. Była jeszcze piękną, ułożenie miała szlachetne, pleć jasną, po której co chwila przebiegały plomienie różowej krwi; oczy miała wielkie podkrojone, których źrenice przezroczystości i koloru morza, patrzyły z wyrazem smutku i zadziwienia; czoło miała wysokie, przykryte włosami ciemnymi, zwijającemi się widocznie pomimo woli właścicielki, która je gładko przyczesane mieć chciała; nos wreszcie prosty okazywał wielką siłę woli, a usta różowe czasami podnosiły się z jednej strony, jakby z pewnym wyrazem złośliwości. Cała postać ruchliwa, ozywiona i niepospolita, uderzała szlachetnem ułożeniem i pewnością siebie. Na pierwsze wejście nakazywała szacunek i nie dozwalała przypuszczać nic takiego, coby ubliżyć mogło kobiecie podróżującej samej. Spozstrzegłszy, że jej się przypatruję, skrzywiła usta do złośliwego uśmiechu, a wyjąwszy książkę, zaczęła czytać.

Jechaliśmy tak drogą wysadzaną drzewami

pomiędzy licznymi folwarkami. Z natury nie jestem rozmownym, a postawa mojej sąsiadki wcale mnie do rozmowy nie zachęcała. Deszcz ustał; nachyliłem się do okna, aby poznać okolicę.

Od czasu do czasu moje oczy zwracały się ukradkiem na nieznaną i dostrzegłem, że po nad książką i ona ze swej strony rzuciła na mnie badawcze spojrzenie.

Zbliżaliśmy się do Dinan. Krajobraz się rozszerzał i przedstawił naszym oczom obraz przepysznej dzikości; zmienił się poziom ziemi, odkrywając na dolinie nagłe leśne spadzistości, a w głębi kręte ciemnozielone łąki.

Moja sąsiadka oparta o okno, wydawała ciche okrzyki podziwienia. Tak dojechalśmy do kamienistych ulic Dinan, nie zamieniwszy słowa.

Karetką pocztową zatrzymała się na placu wysadzonym lipami, którego główną ozdobą jest posąg Du Guesclin'a, w stroju Trubadura. Odebrawszy moją walizkę, oddaliłem się, spojrzawszy po raz ostatni na piękną towarzyszkę. Spozstrzegła to i pragnąc zapewne uniknąć zbytnej ciekawości, przyspieszyła kroku i znikła na skraj ulicy.

Powłóczywszy się trochę po mieście, zapytałem o najlepszy hotel. Wskazano mi hotel Bretański. Wchodząc do przedsiönka, ujrzałem znowu moją towarzyszkę podróżną. Staliśmy oboje nieporuszeni i pomięzani u drzwi zamkniętego biura. Każde z nas trzymało w ręku worek podróżny. Pani się uśmiechnęła, ja się skłoniłem; wreszcie spozstrzegła nas jakaś służąca, która pobięła natychmiast po właścicielkę hotelu.

— Państwo żądają pokoju? — zapytała

gospodyni domu, witając nas z uśmiechem. — Katarzyno zanieś rzeczy na górę.

I wskazała służącej pokoje, dla nas przeznaczone. A że więcej ciekawy byłem poznać miasto, niż dowiedzieć się na którym pięttrze mnie umieszczą, skłoniłem się więc i wyszedłem.

Po Luksemburgu, Dinan jest miastem najrozkoszniejszym i najciekawszem, jakie dotąd widziałem. Wątpię, aby bardzo podobalo się tym, którzy zachwycają się czystością flamandzką i poprawnością linii; ale dla poetów i malarzy — to los szczęścia takie miasto.

Ulice ciemne i kręte; domy smutne i źle urządzone, mają wiele cichych zakątków, wiele też ciekawych i dziwacznych osobliwości.

Przylądek granitowy, na którym Dinan jest zbudowane, posuwa się po nad doliną Rance'y, jak galeryja zawieszona nad przepaścią zieleności. Co chwila nowa dla oka niespodzianka: tu wieżyczka z lampą przyklepioną do węgła domu, tam koronkowe arkady dawnego klasztoru lub kościoła, tu stare odrzwi kamienne przecinające perspektywę ulicy, lub wysmukłe łuki wznoszące swe iglice bliźniące wśród grupy drzew. Tu i tam, przez uchylone drzwi, dostrzegamy ciemne wnętrza budowli XVI wieku, lub szczątki opustoszonego opactwa, nad którego przeszłością marzymy, a o kilka kroków dalej, czarne, wilgotne targowisko, gdzie ryby i jarzyny w nieporządku rozłożone opodal fontanny, której krople spadają z ponurym szmerem.

Zwiedziłem dwa kościoły, zamek, wieżę królowej Anny i udałem się nad brzeg Rance'y, przez szczególną uliczkę Jerzual.

Ta uliczka, właściwiej wąwóz, prowadzący z ulicy do rzeki, warta jest zwiedzenia! Przed-



## OGŁOSZENIA

## ZAKŁAD TAPICERSKO-DEKORACYJNY

M. Wesołowskiego

w domu W-go D-ra Gliksmana, Plac Maryjański  
„w Petrokowie”.

Mam honor zawiadomić Szanowną Publiczność, że z dniem 12-m lipca r. b., otworzyłem specjalnie przezemnie prowadzony Zakład wyłącznie robót Tapicersko - Dekoracyjnych, połączony z wyborem najświeższych fasonów **Mebli**. Przyjmuję nadto wszelkie obstalunki w zakresie tegoż Zakładu wchodzące, oraz w zamian Meble, do użytku niezdatne. Mając nadzieję, że Szanowna Publiczność raczy zaszczylić mnie swoimi względami i nieomieszka przy zdarzającej się sposobności przekonać naocznie o sumiennosci zakładu.

(2-2)

Pozostają z szacunkiem

M. Wesołowski.

## EKSTRAKT SŁODOWY

wyrobu

J. TRĄBCZYŃSKIEGO

w WINIARACH pod Kaliszem.

Jedyny środek wzmacniający dla rekonwalescentów, smaczny w użyciu, różniący się znakomicie od innych przetworów pod tą nazwą sprzedawanych, nie będący bynajmniej portelem, ekstrakt słodowy ma nader liczne zastosowanie w stanach chorobliwych. Zaleca się przy zaflegmieniach, kaszlach, przy cierpieniach piersiowych, a nadto z powodzeniem zastępuje **tran**, przykry w smaku i dla tego szczególnie polecany do użytku dla dzieci.

Ekstrakt słodowy Trąbczyńskiego nie podlega sepsuciu, jest bez fermentacji, w płynie gęstym, a smaczniejszy i skuteczniejszy od zagranicznych ekstraktów, **jest od nich daleko tańszym.**

Na prawo wyrobu i sprzedaży ekstraktu jako środka niezawodnego, posiadam Świadectwo Urzędu Lekarskiego. Skład główny w Składzie materyjalów aptecznych **L. Spiessa i Syna**, (plac teatralny) — sprzedaż we wszystkich aptekach w Warszawie i na prowincyi — w składach materyjalów aptecznych i farb, w **Łodzi u E. Stebelskiego**, ul. Piotrkowska 514 i w „Petrokowie” u **Gampfa, Soczołowskiego i S-ki**. Przy flakonach znajduje się przepis użycia.

(R. i Fr. 5627)

(8-8)

FABRYKA

Tektury Smołowcowej Ogniotrwałej  
i Asfaltu

pod firmą

F. PIETSCHMANN

w Warszawie. Kantor Tłomackie Nr. 3.

Poleca swoje znane z dobroci wyroby i wykonywa z całą akuratacją krycie dachów tekturą i holc-cementem. Wszelkie roboty asfaltowe uskutecznia najlepszym Limmerowskim asfaltem.

**Dla oryentacji Szanownej Publiczności, nadmieniam się, że każda z fabryki wychodząca rola tektury, pokrywa 40 kwadratowych łokci, a nie 30 jak to się gdzieindziej praktykuje.**

(R. i Fr. 6156)

(6-6)

FABRYKA

MASZYN I NARZĘDZI ROLNICZYCH  
i Warsztaty Mechaniczne

„w Petrokowie.”

W dniu 1 Kwietnia otworzyłem w Petrokowie Fabrykę Narzędzi Rolniczych w byłej Fabryce po Korzeniowskim i polecam się wszystkim JJWW. i WW. Współobywatelom tak z moimi własnymi, jak z wszystkich pierwszorzędnymi Krajowymi i Zagranicznymi Fabrykami sprawnymi Narzędziami Rolniczymi. **Wszelka naprawa dokładnie i na termin wykonywana będzie.** O wczesne zamówienia proszę. **Ceny stałe i przystępne.**

B. Hr. Skarbek.

(15-12)

## Edward Zajdler

Adwokat Przysięgły Warszawskiej Izby Sądowej w „Petrokowie”;

przeniósł kancelaryję swoją do domu p. **Spana** obok **teatru**. Przyjmuje sprawy do wszystkich instancyj sądowych.

(3-2)

## NOWOŚĆ I PÓZYTECZNOŚĆ!

## „Plynozon”

najnowszy środek do prania bielizny, wynaleziony w Paryżu i rozpowszechniony we Francyi, Anglii i Ameryce, jest jedynym środkiem skutecznym dla osiągnięcia śnieżnej białości bez najmniejszego uszkodzenia.

Skład główny w kantorze Agentur generalnego reprezentanta E. Horowitza w Warszawie ulica Królewska № 39. Cena butelki z przepisem kop. 20. Zyczącym sobie mieć Plynozon na składzie i kupcom odstępnie się stosowny rabat.

(R. i Fr. 7137)

(3-2)

Potrzebny na posadę

## Magazyniera

człowiek niezłoty, znajomość niemieckiego języka pożądana. Bliższe szczegóły w Redakcyi niniejszego pisma.

(2-2)

Jest do sprzedania w Kociołkach przy stacji pocztowej Wadlew **sto sztuk 1, 2 i 3-letnich**

## MACIOR NEGRETTI

ze stada zarodowego. Matki starsze nad lat 4. Za 1/3 ceny.

(3-2)

Są na sprzedaż w Kociołkach przy stacji pocztowej Wadlew

Deski półtorówki i bale trzycałowe,

brzożowe, suche, po 30 kopiejek za stopę reńską.

(3-2)

## Jan Stopczyk

## FABRYKA POWOZÓW

egzystująca od 1852 r.

w Warszawie przy ulicy Elektralnej Nr. 794c, w domu własnym.

(R. i Fr. 2989)

(15-11)

Do sprzedania

w osadzie Sulejów nad rzeką Pilicą, mil dwie od „Petrokowa”, przy szosie kieleckiej

## Dom Wielki

murowany

№ 141, o piętrze, blachą kryty, z ofieną, stajniami, na zakład fabryczny, sklepy i restauracją zdatury, na piętrze dwa mieszkania po pięć pokoi z balkonem. Wiadomość w księgarni E. Jędrzejewicza.

(10-3)

## Nauczycielka

z wyższym patentem zakładu św. Katarzyny w Petersburgu, posiadająca języki: **russki, francuski, niemiecki, polski, oraz muzykę**, poszukuje miejsca w zakładach naukowych, lub też w prywatnym domu. Wiadomość u p. Piotrowskiego, referenta izby skarbowej w „Petrokowie”.

(3-2)

Zakład  
STOLARSKI  
Piotra Tybleskiego

przeniesiony został od 1-go lipca z domu Pańskiego przy ulicy Petersburskiej **na ulicę Moskiewską do domu W-go Stronczyńskiego**. Przyjmuje wszelkie obstalunki w zakresie Stolarstwa wchodzące, po **cenach umiarkowanych.**

(3-1)

SZKOŁA

Michaliny Jaworskiej

została przeniesiona do domu W-go Adama Michiewicza, dawniej Grzędzicy, ulica Gimnazyjalna.

(3 1)

Od 1-go lipca r. b., jest do wypozyczenia

## Rubli sr. 1000

na pierwszy numer hypoteki. Wiadomość powziąć można u W-go **Glazera Rejenta w „Petrokowie.”**

(4-4)

DO

## Zakładu Stolarskiego

## „RODZINA”

w Petrkwie,

nadeszły żądane **krzesła dębowe „Helena”** z amerykańskimi siedziskami, bardzo mocne, po cenie **rs. 2 kop. 80** sztuk.

Także poleca różne inne **Meble gotowe** własnego wyrobu, gustownie wykończone **po cenach nader przystępnych.**

(0-40)

## SKŁAD WĘGLI

Włodzimierza Sapińskiego

przy rogu Aleksandryjskiej alei.

Sprzedaje węgle w dobrym gatunku. Korzec grubego **wagi** 240 fun. po 85 kop.— kostkowego po 83 kop. Na **miarę** w skrzyniach zamkniętych (przez magistrat warszawski opieczętowanych) po 5, 10 i 20 korcy, grubo po 83 kop., kostkowy po 81 kop. korzec z odstawą. **Na całe wagony z dostawą przed drwalnią**, wagon węgla grubego 11,000 kilometr. (110 korcy) stosownie do gatunku od 76 rs., także kostkowego od 73 rs. **Drzewny węgiel** kurzony rs. 1. **Koks** rs. 1 korzec. W składzie sprzedaje się każdą ilość. **Zwózki węgla** obcego dopełnia: **z osobowej stacji** — za wagon rs. 4. **Z towarowej stacji** — za wagon rs. 5 za furmankę.

Zamówienia wszelkie należy robić w **składzie z góry optacującym.**

(13-2)

Konie, Karety, Powozy, Bryki  
na resorach.

do wynajęcia. Zamawiać można w składzie węgla W. Sapińskiego, na rogu alei Aleksandryjskiej, oraz w mieszkaniu i stajniach tegoż, w domu W-go Golembowskiego, ulica Kaliska wprost Poczty. Karety i powozy na wesela, chrzty, pogrzeby i spaceru — wynajmują się na godziny.

(13-2)

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz 29 powieści oryginalnej Michała Synoradzkiego pod tyt. „Rogata Dusza”.

— A nuż wracają? — szepną Kliki.  
 Wstrzymali się oczekując.  
 Po niedługiej chwili z lasu wychowała klasa ta sama, w której panna młoda z druchnami siedziała. Na razie odetchnął Witecki—sądząc, że znachodzi się zguba, trwał to przecież niedługo.  
 W klasie znalazli druchny wszystkie... okrom panny młodej.  
 — A Anusia? Anusia? — dopytywał Witecki.  
 Kobiety tak były przestraszane, że mówić zaledwie mogły... Wszystkie razem poczęły objaśniać do-pytujących, ale urwanie, wykrzykiwnikowo, z czego nikt nie rozumiał.  
 — Anusia? Strukczaszy? Gdzie oni są? Gdzie? — powtarzał Witecki.  
 Forsy dopiero opowiedział całą historję. Mówił, że przed samym kościołem szlachcic jakiś nie-spodzianie na kózki wskoczył... leje mu z rąk wy-trwał i konie popędził galopem. Zatrzymał je aż w le-sie, gdzie klasa strukczaszego stała, otoczona ogro-mną mocą (przesadzał biedak, bo strach ma wielkie-oczy), jakichś ludzi... Ci wnet otoczyli pojazd... pan-ne młoda z niego porwali... ów szlachcic z kózki ze-skoczył i kazał mu jechać napowrót.  
 — A on? — przerwał Witecki.  
 — Nie wiem, proszę pana... Smieli się wesoło waszyscy i krzyczeli "vivat...". Zresztą nie nie wiem, dom zawrócił czempredzej...  
 — Trzciński! — wrzasnął niedoszły test struk-czaszego. — Jak mi Bóg miły, Trzciński...  
 — Juczi, najwyrzanej on... — mrknął Kli-cki.  
 — A for... infamnie... napastnik... Słyszanoż to, aby w rzeczypospolitej podobne rzeczy się działy!..

— A nuż wracają? — szepną Kliki.  
 Wstrzymali się oczekując.  
 Po niedługiej chwili z lasu wychowała klasa ta sama, w której panna młoda z druchnami siedziała. Na razie odetchnął Witecki—sądząc, że znachodzi się zguba, trwał to przecież niedługo.  
 W klasie znalazli druchny wszystkie... okrom panny młodej.  
 — A Anusia? Anusia? — dopytywał Witecki.  
 Kobiety tak były przestraszane, że mówić zaledwie mogły... Wszystkie razem poczęły objaśniać do-pytujących, ale urwanie, wykrzykiwnikowo, z czego nikt nie rozumiał.  
 — Anusia? Strukczaszy? Gdzie oni są? Gdzie? — powtarzał Witecki.  
 Forsy dopiero opowiedział całą historję. Mówił, że przed samym kościołem szlachcic jakiś nie-spodzianie na kózki wskoczył... leje mu z rąk wy-trwał i konie popędził galopem. Zatrzymał je aż w le-sie, gdzie klasa strukczaszego stała, otoczona ogro-mną mocą (przesadzał biedak, bo strach ma wielkie-oczy), jakichś ludzi... Ci wnet otoczyli pojazd... pan-ne młoda z niego porwali... ów szlachcic z kózki ze-skoczył i kazał mu jechać napowrót.  
 — A on? — przerwał Witecki.  
 — Nie wiem, proszę pana... Smieli się wesoło waszyscy i krzyczeli "vivat...". Zresztą nie nie wiem, dom zawrócił czempredzej...  
 — Trzciński! — wrzasnął niedoszły test struk-czaszego. — Jak mi Bóg miły, Trzciński...  
 — Juczi, najwyrzanej on... — mrknął Kli-cki.  
 — A for... infamnie... napastnik... Słyszanoż to, aby w rzeczypospolitej podobne rzeczy się działy!..

Prócz psów nikt im nie odpowiadał.  
 Musiał Batuchowicz przez płot wysoki przeleźć i stróża nocnego na dziedzińcu zwoływać, który atoli wystraszony tą nagłą wizytą, z miejsca się nie ru-szał, cofał; ani otworzyć bramy, ani kluczy dać nie chciał.  
 Za kark go chwycił Batuchowicz, i klucze wy-rwał, poczem cała kalwakata ta w dziedziniec się wto-czyła.  
 — Bramę zamknąć... — komenderował rotmistrz — kto wie czy nas nie gonią. Ostrożność nie za-wadzi.  
 Tumult rozbudził gospodarza domu, wyleciał z latarnią w jednej, a pistoletem w drugiej ręce.  
 — Kto? Co? Jak? — wołał. — Rabusie... Ło-try... Złodzieje...  
 — Cicho... sza... sąsiadku — rzecze Chrzepczyń-ski stary. — W gościeńmy zajechali... Nie złodzieje ino ucziwi ludzie... swoi.  
 — Ucziwi po nocy... — nie przestawał krzy-czeć pan Tomasz. — Czego tutaj chcecie? Pociście przyjechali? Na co? U mnie niema nic... Nie mam nikogo.  
 — Ale mój mosanie, próżno gardła nie psuj — ozwie się rotmistrz. — Przyjechał tu nie obcy, a twój rodzony siostrzan z narzeczoną i o goścień do rana prosi. Wszakże tego waćpan nie odmówisz...  
 — Jaki siostrzan? Zkąd?.. Znać go nie chcę, ani na oczy widzieć... Cóż to? Zajezdny dom u mnie? austeryja? Z Panem Bogiem jedźcie pókim do-bry...  
 Rotmistrz nasrożył się, stanął tuż przed Barto-szem i patrząc mu w oczy, tak rzekł:  
 — Słuchaj waćpan... Wiemy o tem, żeś skapy niemilosierdzie, aliści dziś rad nierad musisz nas przy-jąć. Radzę nie przecz, bo pogorzysz sprawę. Jutro cię odjedziem w spokoju, za co ręczę.

— A nuż wracają? — szepną Kliki.  
 Wstrzymali się oczekując.  
 Po niedługiej chwili z lasu wychowała klasa ta sama, w której panna młoda z druchnami siedziała. Na razie odetchnął Witecki—sądząc, że znachodzi się zguba, trwał to przecież niedługo.  
 W klasie znalazli druchny wszystkie... okrom panny młodej.  
 — A Anusia? Anusia? — dopytywał Witecki.  
 Kobiety tak były przestraszane, że mówić zaledwie mogły... Wszystkie razem poczęły objaśniać do-pytujących, ale urwanie, wykrzykiwnikowo, z czego nikt nie rozumiał.  
 — Anusia? Strukczaszy? Gdzie oni są? Gdzie? — powtarzał Witecki.  
 Forsy dopiero opowiedział całą historję. Mówił, że przed samym kościołem szlachcic jakiś nie-spodzianie na kózki wskoczył... leje mu z rąk wy-trwał i konie popędził galopem. Zatrzymał je aż w le-sie, gdzie klasa strukczaszego stała, otoczona ogro-mną mocą (przesadzał biedak, bo strach ma wielkie-oczy), jakichś ludzi... Ci wnet otoczyli pojazd... pan-ne młoda z niego porwali... ów szlachcic z kózki ze-skoczył i kazał mu jechać napowrót.  
 — A on? — przerwał Witecki.  
 — Nie wiem, proszę pana... Smieli się wesoło waszyscy i krzyczeli "vivat...". Zresztą nie nie wiem, dom zawrócił czempredzej...  
 — Trzciński! — wrzasnął niedoszły test struk-czaszego. — Jak mi Bóg miły, Trzciński...  
 — Juczi, najwyrzanej on... — mrknął Kli-cki.  
 — A for... infamnie... napastnik... Słyszanoż to, aby w rzeczypospolitej podobne rzeczy się działy!..

— Jedziemy na ślub mościapanowie — rzekł — ale nie na Kobiątkowskiego... za co ręczę...  
 Z kopyta ruszyli.  
 Nie potrzeba powiadać, że usposobienie groma-dy było rozbujające do wysokiego stopnia. Gdyby na-potkali Kobiątkowskiego, z pewnością by go w razie oporu z jego strony na szablach roznieśli.  
 Rotmistrz już wniósł w Tłuczkach, podczas gdy wieczere przez strukczaszego na przenosiny przygo-towaną zjadano — toast za zdrowie "pana podstolica Trzińskiego i jego zacnej małżonki".  
 Przed klasztorem stanęli z wieczora. Księżyc nie świecił—czas był pochmurny, wietrzny... Do wnętrza wchodzić nie chcieli, albowiem gwałtu w przy-bytku bożym każdy się strzegł.  
 Staszek dopytał się zdołał od jednego ze służ-by zakonników, że ślub odbędzie się dopiero za go-dzin dwie co najmniej, i że państwo młodzi jeszcze nie przyjechali.  
 Po krótkiej naradzie postanowiono zaczekać — a co dalej należało czynić... zostawić czasowi.  
 Na dworze było zimno — szlachta zaś tego nie czuła, bo winem była rozgrzana tego.  
 Rotmistrz około Staszka stojący, pocieszał go i nadziei dodawał.  
 — Obaczysz! — mówił. — Strukczaszy jeno śle-pie wybałuszy, a z panny skwituje... Jeny mnie słu-chaj...  
 Podstolic patrzył na niego szklannemi oczyma nie odpowiadając. Podobnym był do machiny, któ-ra za poruszeniem misternych sprężyn porusza się, ale myśli mu się mięszały... nie wiedział sam co się w koło dzieje.  
 Grudka wysunął się na zwiady — czy państwa młodych nie dopatrzy; szlachta tymczasem gwarzyła

Zanim się wesełny rozjeżdżił — zaniem Witecki rozpowiedział z jakiej racyi Trzczińskiego obwinia i zaklinam was, w pogon za łotrami...  
szepnie poniewierany... Tedy na rany Chrystusowe niedopuszczli, izbyłm ja... czelek swego wiosa, miał być dność szlachcka... wzywam was w imię onej, byście Trzcziński... jeżeli przecież istnieje starodawna je-nej podłosc, która mi wypłatał niejaki młodziak jedynażki, a tymczasem jesteście świadkami stomot-cia... mieliście być świadkami obrzędę ślubnego mej — On! — zawołał w głos. — Panowie bra-zowany konkurent był sprawcą tej chryi.

— Jeden Witecki zrozumiał, że to nikt inny, jeno rękę- czynę awantury. Ten i ów o rozbojnikach bąkał — z klasztoru powybiegali zakonnicy, dopytując o przy- Tumuli się weszczali nie do opisania... gwałt... dzieli mu wszystko...  
gdz nadjechał Witecki z gośćmi weselnymi, opowie- bowski i Klički nie zdawali się opamiętać. Dopiero Witecki to stało się tak niespodzianie, że Chle- Szlachta ruszyła z miejsca.  
swoich.  
— Mosci panowie... zamną! — krzyknął do z miejsca.  
wskoczył i nie zważając na krzyki kobiet ruszył Rotmistrz już nie mówiąc nic — na kozioł sam tej panna młoda siedziała...  
Jako raz właśnie zajędziała druga kolasa, w któ- wicz wyrwał lejce forystowi i konie popędził.  
— Co to jest? — jął wołać — ale Sominkie- szek znalazł się przy nim, Sominkiewicz na kozle.  
Nie zdolał się strukczaszy opamiętać — gdy Sta- bierz i jedz do lasu za Obory...  
— Sadał na kozioł... co żywo... dalej... Lejce Zwrócił się potem do Sominkiewicza.  
— Sadał do kolasy... Ino prędzęj...  
Nagle rotmistrz pchnął Staszka.

— 223 —

po cichu, żarty czyniąc trefne z Kobialkowskiego, któ- ry—mówiąc nawiasem — poszanowania w okolicy nie miał, ile że był dziwak, a samolub wielki. Przy oka- zyi tedy chętnie każdy rękę przykładał, aby mu figla wyplatać.

Sominkiewicz cięta i dowcipna sztuka, do stru- kczaszego osobliwy assumpt miał, z racyi, że ten mu woły kilkakroć zajmował... W oczekiwaniu przy kla- sztorze, naprędce śpiewkę takiego kształtu ułożył:

Pan strukczaszy grzeje łoże,  
Małżeńskiej uciеше gwoli...  
Ano... zmylił się nieboże,  
Bo panna innego woli...

Szlachta śmiejąc się, podchwyciła chórem:

Bo panna innego woli...

A rozochocony poeta zaintonował znowu:

Wybrał się strukczaszy... do kobierca zmierza,  
A będzie jeść musiał polewkę z talerza...  
Do kobierca zmierza... kręci się jak fryga...  
A panna mu na to... strukczaszeńku: figa!..

O mało nie pękali ze śmiechu szlachcice — tu- mult się podniósł... gdy nagle Grudka wrócił krzy- cząc:

— Jada! Jada!  
Obstąpili go wszyscy dopytując.  
— Daleko są? Kto z nimi?

Zanim jednak odpowiedzieć zdołał, już pierwsza kolasa przed klasztor zajęchała — a w niej strukcza- szy, Klički i Chlebowski.

Rotmistrz, jakby go kto warem oblał, szarpnął za rękę Staszka.

Klički i Chlebowski wyskoczyli z kolasy,—stru- kczaszemu niełacno to szło...

— 222 —

— Ale ojciec... — szepało dziewczę.  
przy starym dziadziaku martwiec miała...  
by młodzieńca panienka wbrew woli i przekonania,  
Nie mogliśmy dopuścić, aby się taki grimeł stał, iz- sie honor sprezentować, jako jej sudy i obrony.  
mistrz — że my wszyscy, jako tu stojemy, mamy ci — To się znać, mościwa panno — odparł rot- — Panie Stanisławie... co się to znać?  
mówiwszy jednak:  
nął i podstojło przypaść do niej, uspokoiła się, prze- nie, dopki Staszka nie sprostęga. Gdy pojedł sta- Co się tyżez Anusi... nie rozumiała z początku ką poparł, ręką usta zatykając.  
kiewicz z kózka kneblem pogroził, a Staszek pogroz- wydzierał się, wreszcie zamknął usta, bo mu Somi- Kobialkowski tak się przestraszył... że słowa a nadto cała kompanija rozgrzana była całodzienną we... ostateczność niejako zaczęła zdrowy rozsądek, wy z tego co czyni, ile że położenie było rozpaczi- sali, stało się piorunem. Nikt sobie nie zdawał spr- Wszysko to, cośmy w poprzednim ustępie opi-

### XXX

Radzi nieradzi, musieli wracać do klasztoru, bo kobiety z silnego wrazenia pomdlały... trza je było trzeszwić... a wnet potem znowu w pogon udać się mieli...

— 226 —

— Z ojcem uładzimy; zresztą niech pani będzie zupełnie spokojną...

Poczem, jak już wiemy, wysadzono Anusię z po- jazdu, kobiety odprawiono napowrót.

Rotmistrz strukczaszego na kozioł drugiego po- jazdu przesadził, wewnątrz zaś wskazał miejsce Sta- szkowi i Anusi.

— Jakiem prawem — warczał Kobialkowski. — To napaść... gwałt...

— Asindziej nie rezonuj — ostro zawołał Ra- tułt. — Na kozieł i kwita... Ani słowa... Subordyna- cyja mospaniel...

Widział strukczaszy, że nie poradzi nic, był sam jeden przeciwko dwunastu... Klnąc w duszy na kozieł się w gramolił, zdając na łaskę i niełaskę.

Ino spytał pokornie.

— Co waszmość panowie zamysławacie? Z jakiej racyi te gwałty?

— Tyś gwałt popelnił, strukczaszeńku, kusząc się o takie jabłuszko rajskie... — odparł Sominkie- wicz.

— A co zamysłamy?... obaczysz — dodał Ra- tułt...

Złożono krótką naradę, na której zawyrokowa- no, aby do pierwszego napotkanego dworu wstąpić, spocząć do rana, a nazajutrz jechać do Przybogowa, gdzie proboszcz tamiejszy ślub dać miał młodej parze.

— Nie tęgą będziemy mieli gościnę — zauwa- żył Sominkiewicz. — Tuż za lasem Obory Trzczi- skiego, gdzie gospodarz... panie odpuść... chociaż kre- wny naszego towarzysza, aliści sknera aż strach...

— Przyjąc nas musi... Marznąć przecież na dworze nie będziemy — zaprzeczył rotmistrz.

Jako rzekł Sominkiewicz, Obory tuż za lasem leżały; stanęli nasi szlachcice przed zapartami wrota- mi i docijając się zaczęli gwałtownie.

— 227 —